

Zwyczaje wielkanocne na Kowieńszczyźnie

Wielki Post na Kowieńszczyźnie był to czas pokuty, skromniejszego jadła, przepełniony modlitwą, rozważaniem męki Pańskiej i jałmużną, czyli dobrymi czynami, wspomaganiami ubogich, których na przednówku nie brakowało.

Wielki Tydzień zaczynał się Palmową Niedzielą. Z regionu kowieńskiego Litwy palmy składały się z 3-5 gałązek jałowca, bukszpanu i obowiązkowo kilku gałązek wierzbowych zwanych koćkami (palm wileńskich tu nie znano). Po powrocie z kościoła z poświęconą palmą biło się mówiąc: -"Nie ja biję - wierzbą bije - za sześć noc Wielkanoc - malowana jajko" .Wkładano palemkę za belkę nad obrazami. Ta palma cały rok broniła od burzy, pioruna, złego oka, Palono je, a dym jałowca – to było coś fantastycznego – uspokajał nawet rozkapryszone małe dzieci. Zeszlóroczna palma w Niedzielę Palmową była palona i po chacie długo gościł zapach jałowca.

W dawnych czasach na wsi kowieńskiej oświetlały izbę lampy naftowe, a na stole leżały kolorowe serwetki. W rogu izby bywały przymocowane trójkątne półeczki, na których stawiano zegarek (zimą choinkę), mogły leżeć modlitewniki, bądź wielkanocne bukiety z wiszącymi pisankami na gałązkach. Te półeczki również ozdabiano papierową koronką, wycinanką, klejoną klejem z mąki. Tą pracą wyłącznie zajmowała się młodzież.

Gospodyni szła na strych i wybierała mięsa do pieczenia. Pieczono szynkę z kością, robiono wędliny, kiełbasy. Dzieci miały za zadanie roznosić wędliny, masło, mleko i ser tym, którzy tego nie mieli: ubogim, wdowom i sierotom. Jaj wszyscy mieli pod dostatkiem.

Triduum zaczynało się od Wielkiego Czwartku. Moja chrzestna (po naszymu: matęka) w Wielki Czwartek myła okna i przesadzała kwiaty doniczkowe. Jak u nas się mówiło - by przez cały rok kwiaty bujały bez przerwy. Ja również tego przestrzegam.

W Wielki Piątek obowiązywał ścisły post. Dla dzieci gotowano kompot z suszonych owoców. Słodczyce to suszony burak cukrowy (jesienią je obierano, krajano w plastry i suszono po wypieku chleba w piecu) - takich wspaniałych cukierków dziś nie ma. W wielkim garnku gotowano całą szynkę z kością. Ten zapach przypominał nam, że niedługo oczekiwany Cud Wielkanocy i koniec postu.

Sobotni ruch był ciekawszy. Pomagaliśmy kręcić ciasto na miodownik i baby (I jak nikt tego nie widział, popełniałam wielki grzech, oblizując łyżkę). Jajka farbowano liśćmi olch, brzozy, cebulową łuską. Zawsze musiało być jajko ufarbowane na czerwono. Moja ciocia jajka nakrapiała woskiem. Gotowano na

twardo. Ciepłe jajko smarowano skrawkiem słoniny, co dawało ładny połysk. My czekaliśmy na pęknięte jajka - by je zjeść. Pisanki układano na plecioną tacę z wikliny. Jeżeli wiosenne warunki temu sprzyjały, tą tacę upiększano zielenią. Do dobrze napalonego pieca stawiano ogromne blachy z bułkami, miodownikami i tą ugotowaną szynką. Szynka i bułki były smarowane rozbitym jajkiem (używano pióro gęsie) - to dawało lustrzany połysk. Z odwaru szynki czyli rosółu gotowano barszcz szczawiowy (z zapasów zgromadzonych jesienią) i jedzono drugiego dnia Świąt Wielkanocnych. Pieczono też cielęcinę naszpikowaną słoniną. Był pasztet z zająca, wędzony i pieczony kurczak jako podziękowanie za dary Boga - obfitość jadała. W bogatszych dworach robiono paschę i sękacze.

W Wielką Sobotę świecono pokarmy we dworach tuż przed śniadaniem. Gdy nie było księdza, modlitwę prowadził i stół kropił wodą senior rodu. W naszym domu stuletni dziadziuś, co sadzano go na pierwszym miejscu u szczytu stołu.

Pierwszy dzień świąt spędzano rodzinnie. Po rezurekcji, która zaczynała się o wchodzie słońca, siadano do stołu na śniadanie, co przeciągało się do południa. Na rezurekcję do kościoła w Labunawie, oddalonego o 4 km, z reguły szedł tatuś. Dziewczynki, kiedy podrosły, sypały kwiatki w białych sukienkach. Nie były to płatki a gałązki, bukietki z tui. Po drugim okrążeniu procesji (a były trzy) bolały ręce... W nagrodę ksiądz proboszcz częstował dzieciaki cukierkami. Mama zostawała w domu z najmłodszym rodzeństwem (a była nas czwórka) i przygotowywała stół. Nakrywała go piękną serwetą, a na środek stawiała krzyż i srebrny lichtarz.

Na stole leżały mięsiwa, szynka gotowana, nóżki w galarecie, głowizna - po naszymu kwaszanina. Stał chrust i ciasta nadziewane wiśniami. Dawniej nie jadało się zieleniny, sałatek... Wyjątek stanowił kiszony ogórek czy śliwka lub gruszka w occie. Do stołu podawano musztardę i nasz mocny chrzan. Czy dziecko, czy dorosły - musiał go tyle zjeść, żeby aż łzy popłynęły (dla zdrowia na cały przyszły rok). Obficie nakładano i na jajko, i na wędlinę. Po południu spotykano się u dalszej rodziny i sąsiadów, śpiewano i tańczono, goszcząc się i popijając bimberek - tak zwaną gruszkówkę a czasami nalewki. Zaczynał się zielony karnawał.

Drugi dzień świąt to Lany Poniedziałek. Skrapiano wodą tylko kobiety, nawet te najmłodsze. Dyshonor dla tej, którą nie polano zimną wodą. Polewających goszczono. W ogrodach wieszano huśtawki, a tej pannie, która najwyżej się bujała, wrócono, że będzie przędła najdłuższy len.

W trzeci dzień tzw. Lodowy Wtorek panie polewały panów - symbolicznie, aby zdrowie dopisało. Dzieciom rozdawano pisanki, które - stukając jedne o drugie - rozbijano i jedzono. Za polewanie dostawaliśmy dużo jajek...

Tak to świętowano dawniej i dziś wiele z tej tradycji zostało. Nadal jest święcenie palemek, pokarmów i spotkania rodzinne, a przede wszystkim przeżywanie święta Zmartwychwstania Chrystusa.